

PAULINA STĘPIEŃ

Każdy, kto dorasta, musi zniknąć

ZNIK
NIE
MY



Young

PAULINA STĘPIEŃ

ZNIK
NIE
MY

Young

Redaktorka prowadząca i wydawczyni: Olga Gorczyca-Popławska
Redakcja: Anna Kowalska
Korekta: Jarosław Byczkowski
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski
Grafika okładkowa: © Emil, © ANDRIBENKY, © releon8211 / Stock.Adobe.com
Ilustracja na wyklejce: Anna Niemczak
DTP: pagegraph.pl

Copyright © 2026 by Paulina Stępień
Copyright © 2026, Young an imprint of Wydawnictwo KobiECE
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2026
ISBN 978-83-8417-389-3

Grupa Wydawnictwo KobiECE | www.WydawnictwoKobiECE.pl





Otylia nie mogła sobie przypomnieć, kiedy się pojawił.

Czy wtedy, gdy po raz pierwszy w środku nocy wybudziło ją ze snu uporczywe szarpanie za klamkę frontowych drzwi i przez okno ujrzała starszego chłopaka z twarzą całą we łzach, który jeszcze tego wieczoru rozdawał im pieczone ziemniaki wyjęte łopatką z ogniska – i którego nie zobaczyła już nigdy więcej?

A może wtedy, gdy na jej oczach dziewczyna, z którą trenowała gimnastykę, wyrznęła się nagle bez powodu, idąc korytarzem wyłożonym równiuteńkimi deskami, a Otylia mogłaby przysiąc, że widziała, jak po chwili jedna z desek wskakuje z powrotem na swoje miejsce z cichym kliknięciem?

Czy może wtedy, gdy zdała sobie sprawę, że ona i jej przyjaciele stali się najstarszymi podopiecznymi w domu, choć zdawało jej się, że ledwie chwilę temu nianczyły ich

dziesiątki starszych nastolatków, na każdym kroku utyskujących na dzieciaki kręcące im się pod nogami? W domu zawsze panował hałas, ale bez nich ten hałas stał się dziwnie odległy i jakby o ton cichszy. A może ta cisza – zwiastunka burzy – zaległa tylko w niej?

Może to było wtedy, gdy w samo południe dojrzała w oddali za bramą domu ubraną w łachmany kobietę, która zamaszystym ruchem czyniła znak krzyża.

A może wtedy, gdy podczas wieczoru spędzanego w ogrodzie z przyjaciółmi dobiegły ją czyjeś żałosne krzyki i wydało jej się, że rozpoznaje ten głos, że jest on dziwnie bliski, znajomy, że niegdyś towarzyszył długim blond włosom, złocistej skórze i szerokiemu uśmiechowi, ale za nic nie potrafiła sobie przypomnieć, do kogo należał.

Może to było wtedy, gdy podczas długich zimowych nocy leżała w łóżku z gorączką i męczyły ją sny, w których słyszała trzaskanie drzwi i rozdzierający płacz dochodzący z części dla opiekunów, a po powrocie do zdrowia zastała trzy puste miejsca przy stole w jadalni?

Może to wcale nie miało znaczenia. A może miało ogromne znaczenie. Może właśnie to było kluczem, który mógł otworzyć pozamykane drzwi, lub kotwicą, która nie dałaby jej podryfować na nieznane wody. Jednego mogła być pewna – to nie był strach. To już od dawna nie był strach, bo strach jest właściwy dzieciom, a ona stała się jedną z najstarszych podopiecznych w domu na końcu świata.

Nie mogła sobie jednak przypomnieć, kiedy w jej sercu pojawił się lęk – gorszy od strachu, bo nieprzemijający i nieokreślony, a tym samym niemożliwy do okiełznania.

1



Fragment zapisków znalezionych w samochodzie porzuconym na pustyni Kalahari:

Dom ma cztery piętra, nie licząc strychów i piwnic. Dzieli się na dwie części mieszkalne – jedną przeznaczoną dla najmłodszych dzieci, drugą dla tych, które zaczynają zadawać niewygodne pytania. W pierwszej części spędziłem sześć lat, jednak niewiele już pamiętam, w głowie mam same strzępki: żółte ściany, fluorescencyjne gwiazdki na sufitach w sypialniach, drewniane klocki ze śladami po zębach, plastikowe sztucce. Z tamtego okresu najlepiej wspominam mieszkańców drugiej części Domu, ale – jak na ironię – gdybym miał powiedzieć, jak wyglądali, jak brzmiały ich imiona albo co konkretnie mnie w nich zafascynowało, musiałbym zmyślać. Ten Dom wyprawia najdziwniejsze rzeczy z pamięcią. Jednego jestem pewien: chciałem być taki jak oni.

Teraz jestem jednym z nich. Widzę dzieci, które patrzą na mnie z okien, gdy wychodzę do ogrodu, i zastanawiam się, jak szybko o mnie zapomną. Jak szybko zniknę.

Mam na imię Jeremi – takim imieniem zwracano się do mnie, zanim trafiłem do Domu, i wierzę, że jest ono prawdziwe. Żadne z nas nie zna swojego nazwiska. Nie zdradzono nam, dlaczego ukrywają je przed nami. W tym roku skończyłem siedemnaście lat. Spisuję te informacje z nadzieją, że to nie pozwoli mi do końca zniknąć.

Ja, Daniel i Teofil jesteśmy najstarszymi wychowankami Domu. Rok od nas młodsi Otylia, Ruta i Ludwik oraz dwa lata młodsza Nila są nam bardzo bliscy, zupełnie jakbyśmy tworzyli mniejszą rodzinę, która wyewoluowała z całej wspólnoty po części naturalnie – mając na uwadze nasz wiek – a po części z niewypowiedzianej nigdy na głos decyzji, by się nie nienawidzić i by się nawzajem wspierać. To miłe, jeśli weźmie się pod uwagę większą rodzinę, w której funkcjonujemy, a która przypadała nam w udziale. Jestem dumny z porozumienia, które udało nam się wypracować.

Naszym wspólnym wrogiem jest czas.

Dom z lewej strony jest otoczony gęstym lasem, od tyłu – sadem i pełnym zarośli zagajnikiem, a z prawej – wielkimi polami uprawnymi. Sam budynek przypomina hotel lub pałac, który lata świetności ma już dawno za sobą, choć przyznam, że bije z niego jakiś staroświecki urok. Cały teren jest ogrodzony wysokim płotem. Nie ma na nim żadnego drutu kolczastego; to zwykła siatka okręcona wokół kilkudziesięciu słupków. Fizycznie nie stanowi żadnego zabezpieczenia. Do Domu nie można jednak wejść z zewnątrz – o ile nie jest się dzieckiem. Można za

to z niego wyjść. Nikt nam nie broni wychodzenia. Jak już wspominałem, płot nie stanowi żadnej przeszkody. My jednak nie wychodzimy, ale powody nie są dla mnie do końca jasne. Gdybym miał wybrać jeden, byłby nim strach. Boję się, że nie będę mógł wrócić, bo Dom nie uzna mnie już za dziecko lub poczuje się zdradzony i stracę jego łaski. Ktokolwiek to czyta, po tym stwierdzeniu musi wiedzieć, że z nami jest nie do końca wszystko w porządku.

Kiedyś był tutaj dom dziecka – albo prywatna szkoła z internatem, nie jestem tak naprawdę pewien statusu prawnego tej instytucji. Krążą o niej różne plotki, podobnie jak o jej właścicielu, Albercie Roggenbaku, sławnym polityku i działaczu społecznym. Wiadomo, że dawni wychowankowie nie opuszczali tego miejsca, a w trakcie roku szkolnego codziennie przyjeżdżali tu najlepsi nauczyciele, prawdziwi specjaliści w swoich dziedzinach. Poziom edukacji był bardzo wysoki – Roggenbak kształcił przyszłych lekarzy, prawników, polityków, wybitnych artystów; słowem – elity społeczne. Zajmował się nimi od małego, a potem posyłał ich na uniwersytety, nadzorował ich rozwój naukowy i uruchamiał wszelkie znajomości, by dostali odpowiednie posady, wymagające i mające realny wpływ na społeczeństwo. Ufał swoim dzieciom. Ostatecznie zginął, by chronić te, które nie zdążyły wyfrunąć spod jego skrzydeł, a jego poświęcenie sprawiło, że dom stał się Domem.

Czy przelanie krwi rzeczywiście może tak mocno oddziaływać na kształt rzeczywistości i wynaturzyć ją do tego stopnia, że prawa fizyki, logiki i biologii przestaną mieć znaczenie? A może to tylko legenda? Czytałem kiedyś, że ludzki umysł jest zdolny kształtować nasz odbiór rzeczywistości na swoją modłę,

dostosowywać ją do tego, w co wierzymy lub czego się boimy – co oznacza, że możemy widzieć rzeczy, których nie ma, i trwać w pułapce, choć nie ograniczają nas żadne realne przeciwności. A jednak wciąż boję się sprawdzić tę teorię. Wiedza to jedno, praktyka – drugie. W Domu dzieją się dziwne rzeczy. Dom rządzi się swoimi prawami.

Katakлизм nadszedł dwadzieścia dwa lata temu. W tym samym roku Albert Roggenbak zginął tragiczną śmiercią z rąk grabieżców i wszyscy możemy się zgodzić, że po jego odejściu to miejsce straciło wszelki prestiż. Cóż, trudno utrzymać prestiż bez specjalistów, którzy mogliby nauczać, uniwersytetów, na które można by się było udać, i świata, w którym można by funkcjonować. Nikt już dziś nie potrzebuje wyedukowanych mądrali.

A może jednak znów są potrzebni? Czasem – gdy pan Wilhelm przywozi nam książki, różne gadżety i narzędzia – mam wrażenie, że katakлизм został szybko zażegnany, świat się odbudował i poszedł do przodu, a my tkwimy tu niczym w limbo, ograniczeni własnym strachem i legendą, wdzięcznością względem człowieka, który zmarł, zanim się urodziliśmy, i któremu nic tak naprawdę nie zawdzięczamy. Potem jednak przyjeżdża kolejne przerażone dziecko, pod bramą pojawia się kolejny toczony przez chorobę człowiek, kolejny szaleniec próbuje się wdrzeć do środka i moje nadzieje na inny, lepszy świat gasną. Nie jest tu wcale tak źle. W końcu to nasz Dom – jedyny, jaki mamy.

Najmłodsze dzieci mają kilka opiekunek. Praca w ich części Domu nie jest szczególnie wymagająca. Opiekunki prowadzą lekcje czytania i pisania, matematykę, geografę, biologię,

historię i plastykę. Starsi wychowankowie angażują dzieci w sport i w różne dziedziny sztuki – a przynajmniej tak było do tej pory. Odkąd my staliśmy się najstarszymi wychowankami, stronimy od innych dzieci, zamknięci we własnej bańce lęków.

Nas niczego już się nie uczy. To znaczy, przepraszam, jestem niesprawiedliwy, gdy twierdzę, że niczego. Wręcz przeciwnie, zdobywam interesującą mnie wiedzę pod okiem jednego z opiekunów, który – tak się składa – interesuje się dokładnie tym samym, co ja. Odkąd jednak w wieku jedenastu lat przeniesiono mnie do drugiej części Domu, lekcje przestały być obowiązkiem, stały się jedynie możliwością. I ja z tej możliwości korzystam, w przeciwieństwie do większości bliskich mi wiekiem.

Początkowo sądziłem, że to jakiś okrutny sposób na zawężenie naszych horyzontów, odcięcie nas od wiedzy, może element manipulacji, ale ostatnio staram się być bardziej wyrozumiałą, przez co doszedłem do strasznego, ale chyba najtrafniejszego wniosku – opiekunowie przestali nas uczyć, bo nie mają zasobów intelektualnych, które by im na to pozwalały. Nie ma tu żadnego matematyka, fizyka czy chemika. Nie ma nikogo, kto mógłby nas wykształcić.

O utrzymaniu porządku w Domu wiemy wszystko. Poznaliśmy tu każdą deskę, każdą ścianę, każdy zakątek. O świecie poza ogrodzeniem nie wiemy nic.

Zamierzam się dowiedzieć na jego temat jak najwięcej, nim skończę spisywać ten pamiętnik. Zrobię wszystko, by nie zniknąć, a to jeden ze sposobów.

Nieś ją, kimkolwiek jesteś.

Wpiszę nas w historię świata.

Otylia wyłożyła na stół układ zawierający komplet siódek. W rękach nie zostały jej już żadne karty, wobec czego opadła na oparcie krzesła z leniwym, triumfalnym uśmiechem. W reakcji na jej wygraną w remika Daniel złożył swoje karty, rzucił je na środek stołu i wstał.

– Co ty robisz? – obruszył się Jeremi, spoglądając na niego z wyrzutem. – Gramy do ostatniej osoby.

– Jesteście nudni – oświadczył Daniel, po czym ruszył w stronę starej wieży stereo wywleczonej ze strychu do ogródka, którą pan Wilhelm późnym popołudniem podłączył do generatora prądu.

– Naucz się przegrywać – zawołał za nim Ludwik.

– Ktoś taki jak ty na pewno musiał się tego nauczyć! – odparł Daniel, nawet się nie odwracając.

– Tola oszukuje – stwierdziła Ruta i zgarnęła karty ze stołu. Gdy kolejni gracze zobaczyli, co robi, zaczęli oddawać jej swoje karty i sięgać po napoje. – Wszyscy wiedzą, że gdyby to było uczciwe rozdanie, nie miałyby ze mną żadnych szans.

– Skoro tak twierdzisz, to udowodnij, że oszukuję... – zaczęła ostrożnie Otylia.

– Trochę przyzwoitości! – wybuchła jej przyjaciółka i spojrzała na nią z oburzeniem. – Powinnaś się wstydić.

– Właściwie – odezwał się Jeremi, podnosząc głowę znad notatnika, w którym ołówkiem zapisywał punkty – nie wygrałabyś tego rozdania. I Tola też nie powinna, miała za mało punktów, żeby się wykładać.

– Mieliśmy nie liczyć punktów – zaprotestowała Otylia.
– Ale gdybyśmy liczyli, największe szanse na wygraną miałby Daniel.

– Oczywiście, że Daniel miałby największe szanse, gdybyśmy grali zgodnie z zasadami – rzucił Daniel. Przykucnął właśnie przy wieży i próbował uruchomić odtwarzacz płyt.

– Zasady były takie, że nie liczymy punktów – powiedział Ludwik.

– Dziękuję – szepnęła Otylia z przyjaznym uśmiechem.

– Lizus – warknęła do Ludwika Ruta.

– Bo stwierdzam fakty?

– Bo jesteś głupi.

– Przestańcie się kłócić – poprosiła Nila, obejmując ramionami nogi wsparte o krawędź krzesła. Jej kościste kolana i cienkie łydki wyglądały zza obszernych rękawów swetra, zaczerwienione od wieczornego chłodu. – Przecież to tylko gra. Najważniejsze, że gramy razem, prawda?

Na moment wszyscy zamilkli i tylko wpatrywali się w nią z uniesionymi brwiami, wzrokiem pełnym powątpiewania. Opuścili dopiero, gdy westchnęła ze smutkiem i sięgnęła po szklankę soku, z której wystawała różowa słomka.

To był pierwszy cieplejszy wieczór tej wiosny i cały dzień aż się rwali, by wyjść poza mury domu. Przysiedli w jednym z ogródków na tyłach posiadłości, otoczonym wysokim drewnianym parawanem, na którym ktoś dawno temu rozwiesił kolorowe lampki. Były zakurzone i upstrzone zaciekami, ale działały. Rzuciły teraz czerwone, zielone i niebieskie plamy światła na kwiaty w kamiennych rabatach, na zastawiony szklankami stół i na składane krzesła.

Chłód, który pojawił się wraz z nadejściem nocy, nie robił na nich wrażenia. Po długiej zimie byli spragnieni powietrza, wiatru, zapachu trawy pokrytej rosą i ciągnącej znad pól woni spulchnionej ziemi. Na niebie gęsto świeciły gwiazdy.

Nocną ciszę przerwały pierwsze nieco chrobotliwe dźwięki muzyki; stara piosenka, którą słyszeli już dziesiątki razy, ale nie rozumieli jej słów. Słowa nie były zresztą istotne, liczyły się melodia i mocne vibracje basu w ziemi, które zmuszały nogi do podrygiwania, wprawiały biodra w ruch, wyczyniały cuda z głową – sprawiały, że ta kiwała się płynnie w górę i w dół, a tworzony przez nią rytm rozluźniał sztywne dotąd ramiona.

Otylia poczuła ekscytację narastającą w głębi gardła niczym krzyk próbujący się wydostać na wolność – nadeszła wiosna, wróciło słońce, za rogiem czaiły się już piegi, jaśniejsze pasemka i ramiączka sukienek muskające przypieczone barki.

Daniel wyprostował plecy, po czym obrócił się i posłał Otylii drapieżny uśmiech.

– Zwycięski taniec, nie wywiniesz się – ostrzegł.

Odchyliła głowę i ostentacyjnie wypuściła powietrze nosem, by pokazać, co sądzi o tym pomysle, ale gdy zobaczyła, jak chłopak zmierza w jej stronę, kołysząc biodrami i rozkładając ramiona, nie mogła powstrzymać chichotu. Pociągnął ją za rękę i poderwał z krzesła.

– No dobra... – wymamrotała.

Daniel zaprowadził Otylię na środek ogrodu, a tam wypuścił jej dłoń, odwrócił się do niej przodem i zaczął pstrykać palcami w rytm muzyki, co sprawiło, że wśród zebranych

rozległy się śmiechy i ciche okrzyki zachęty. Strząsając z siebie resztki rozleniwienia, dziewczyna ostatnim ociężałym ruchem zwróciła się w stronę przyjaciół, gdy nagle jej palec wystrzelił w górę, a biodro – w bok.

Ruta zawyla z zażenowania i zasłoniła twarz dłońmi. Otylia posłała jej całusa – dokładnie w tym momencie wszelkie chroboty ustały, melodia oczyściła się z zakłóceń, a dziewczyna dała się ponieść muzyce, napędzana po trosze wzmagającym się skandowaniem i skoczną muzyką, a po trosze radością, lekkością, pierwszym głębszym wdechem rześkiego powietrza po długiej i upiornej zimie. To był taniec zwycięstwa, jednak nie po wygranej partii kart, tylko po miesiącach mrozu i ciemności, zamarcia i letargu, po skromnych posiłkach, okrzykach dochodzących zza ogrodzenia, pozamykanych okiennicach i kolejnych znikających z jadalni krzesłach, które pozostały już bez właścicieli. Tańczyła, jakby każdym ruchem, każdym wdechem chciała zakomunikować światu, że żyje, jest, trwa.

W jednej chwili Daniel złapał ją za wyciągniętą do góry rękę i okręcił dookoła w chaotycznym piruecie. Wpadli na siebie, gubiąc krok, i taniec zakończył się wybuchem szczerego śmiechu.

Otylia odsunęła się od chłopaka, stanęła przodem do zebranych i pokłoniła się przed nimi z gracją właściwą gimnastycze, zdyszana i rumiana z wysiłku. Nila biła brawo, Ruta zagwizdała na palcach, a Ludwik wydał z siebie przeciągły okrzyk radości.

Jeremi uśmiechał się tylko tajemniczo znad notatnika. Jego jasne, gładkie włosy lśniły w barwnym świetle

lampionów zawieszonych nad parawanem, a rzucające przez nie cienie ślizgały się po smukłych dłoniach chłopca, w których obracał ołówek.

– Zadanie domowe na dziś – powiedział Daniel, pochylając się nad uchem Otylii. – Czy zwycięstwo uzyskane na drodze oszustwa wpływa na radość z triumfu? Obroną tezę uzasadnij w trzech argumentach.

Spojrzała na niego z ukosa.

– A jeśli zwycięstwem jest udane oszustwo, a nie rozegrana partia? – wtrącił Jeremi.

Otylia poczuła, jak kąciaki ust unoszą się jej w uśmiechu.

– Jak ja nie znoszę tych przeintelektualizowanych gadek – sarknęła Ruta. – Tak, jesteście od nas mądrzejsi! Chodź tu, Tola, bo jeszcze wpadniesz w ich pole rażenia.

Otylia posłuchała przyjaciółki. Gdy opadła na krzesło, dostała do ręki szklanekę z sokiem. Był tak lodowaty, że rozbolały ją od niego zęby. Mimo że temperatura powietrza spadła już do poziomu, w którym budziła dyskomfort, żadne z nich nie chciało jeszcze wracać do domu. Po chwili Daniel zaczął zносить z pobliskiej szopy koce i pledy; okryli się nimi, wciśnięci w krzesła, z policzkami smaganymi rześkim wiosennym wietrzykiem, schowani pod milionem gwiazd, w oazie pośrodku pustkowia.

Choć mieli dopiero po kilkanaście lat, była to ostatnia spokojna wiosna, jaką przyszło im się cieszyć.

Wręcz z latem miała nadejść ich pora, by zaczęli po trochu znikać.

* * *

Teofil był najbardziej ponury z nich wszystkich. Trzymał się na dystans i rzadko dołączał do swojej grupy w ogrodzie albo w bibliotece, a do posiłków siadał z nisko opuszczoną głową, otaczając talerz ramionami, i jadł w sposób tak metodyczny, jakby nie chciał dopuścić do tego, by poczuć smak albo fakturę jedzenia. Służyło mu ono jedynie do tego, by się pożywić, nie zaś po to, żeby czerpać z niego przyjemność. Nie włączał się wtedy również do dyskusji. Gdy któregoś razu Daniel zapytał go, dlaczego nic nie mówi, Ruta, nie dając Teofilowi dojść do głosu, poderwała się znad swojego talerza i rzuciła:

– Jak pies je, to nie szczeka, bo mu miska ucieka! Weź to sobie do serca i skup się na żarciu, bo tak wymachujesz tym cholernym widelcem, że za chwilę wbijesz mi go w oko.

Daniel jednak niewiele sobie z tego robił – wręcz przeciwnie, zaczął wymachiwać widelcem jeszcze mocniej, na złość Rucie.

Teofil – na własne życzenie – jako jedyny z nich wszystkich mieszkał w pojedynczym pokoju na parterze, nieopodal kuchni, a pomieszczenia znajdujące się w jej sąsiedztwie miały to do siebie, że zawsze było w nich trochę zbyt duszno z powodu pieca. Otylia zajrzała do Teofila tylko raz, by go zwołać na obiad, kiedy jego nieobecność zaczęła się przeciągać. Miał w środku równiutko zasłane łóżko, zamkniętą szafę, puste, zakurzone biurko i nic poza tym; żadnych ozdób, żadnych ubrań porzucanych niedbale na ziemi, żadnych książek. Z czasem Otylia doszła do wniosku, że chłopak najlepiej czuje się we własnym towarzystwie i należy go

zostawić w spokoju, a nie zachęcać do aktywności, co uparcie próbował robić Daniel.

Teofil nie radził sobie najlepiej na lekcjach i nikogo nie zdziwiło, że nie zdecydował się poszerzać wiedzy pod okiem kogoś z opiekunów. Był człowiekiem czynu, nie nauki. Często kręcił się w pobliżu pola, a z czasem stary pan Wilhelm – rolnik, a jednocześnie konserwator – przygarnął go i zaczął przyuczać do prostych robót. Gdy na przestrzeni lat zrównali się wzrostem, Teofil potrafił już samodzielnie kosić trawę, grabić ziemię, siać, wiązać snopki siana, przycinać gałęzie, bielić drzewka owocowe wapnem i wykonywać drobne naprawy w domu. Wśród podopiecznych krążyły żarciki, że zbyt mocno się przejął słowami opiekunów, jakoby dom zatrzymywał tylko tych, którzy o niego dbają, ale Otylia nie sądziła, że Teofil robi cokolwiek ze strachu. W samotności, na polu, na świeżym powietrzu wyraźnie odżywał.

Widziała go właśnie przez pryzmat takich chwil – jego plecy pochylone nad zbudowanym przez pana Wilhelma pługiem ciągniętym przez konia, nogi wsparte na stopniach drabinki przysuniętej do jabłoni, sylwetka przemykająca za drzwiami stodoły.

* * *

Któregoś razu, gdy Otylia z panią Anną – starszą gospodynią i opiekunką części korytarza, w której pokoje miały dziewczęta – kroili ciasto z ziemniaków i mąki na kluseczki do gulaszu, Teofil wszedł po cichu do kuchni, nalał

sobie wody do szklanki i zaczął pić, pochylony nad zlewem. Otylia dostrzegła wówczas pasek brudu i opalenizny na jego szyi, a nad nim kilka krwawych zadrapań od gałęzi i ciemny meszek pokrywający niemal łysą głowę. Palce miał czarne od ziemi, która powłaziła mu za paznokcie. Przyszło jej do głowy, że chłopak nie wygląda na siedemnaście lat, ale szybko się skarciła za tę myśl. Ilekroć myślała coś podobnego o którymś ze starszych kolegów, ten w ciągu kilku miesięcy przestawał się pojawiać na korytarzach domu.

Może potrafiła to już wyczuć, a może był to tylko niefortunny zbieg okoliczności.

* * *

Lekcji nie było wiele i nie były szczególnie angażujące – uczono ich tylko prostych rachunków, czytania i pisania, trochę historii, trochę chemii w zakresie potrzebnym do zajmowania się domem, fizyki tyle, by się orientowali, dlaczego świat działa tak, a nie inaczej – dlatego każde z nich, po wyrośnięciu z zabaw, znajdowało sobie jakieś zajęcie. Otylia pomagała w kuchni i z zacięciem pochłaniała książki kucharskie, jej współlokatorka Ruta wraz z Ludwikiem trenowali biegi długodystansowe i strzelanie z łuku, Daniel i Jeremi całe dnie spędzali w bibliotece, gdzie zgłębiali wiedzę pod okiem nauczyciela, Teofil pracował na roli z panem Wilhelmem, a Nila, gdyby mogła, najchętniej zamieszkałaby w zagrodzie dla zwierząt, dzieląc swój czas między opiekę nad nimi i pracę w ogrodzie.

Nila była uroczą dziewczyną. Gdy się uśmiechała, świat przez moment zdawał się trochę lepszym miejscem. Jej sympatyczny, nieco dziecinny głos, wylupiaсте, jasnozielone oczy, które w ostrym świetle przybierały dziwne żółtawe odcienie, policzki usiane piegami, niewielki wzrost, ramiona smukłe jak wierzbowe gałązki i cienkie, brązowe włosy obcięte tuż pod uchem – wszystko to sprawiało, że inni traktowali ją z lekką pobłażliwością.

– Na jej miejscu ciągle robiłabym wszystkim jakieś głupie żarty, bo i tak nikt by nie uwierzył, że to ja – stwierdziła kiedyś Ruta, leżąc na łóżku i odbijając gumową piłeczkę od sufitu.

– Jakie na przykład? – spytała Otylia.

Dziewczyna wzruszyła ramionami, a wzrok nadal miała skupiony na piłeczce.

– Wysmarowałabym Ludwikowi spód materaca nawozem – odparła po chwili namysłu. – Schowałabym Jeremiemu ołówki w rzeczach Daniela, żeby wina spadła na niego. Przesypałabym ci cukier do pojemnika na sól i na odwrót.

– To byłoby bardzo w twoim stylu.

– Widzisz?! – Ruta złapała piłeczkę i spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami. – Wszyscy zrzuciliby to na mnie! Nikomu by nawet nie przyszło do głowy, że to Nila. Zbrodnia doskonała... – Westchnęła i wróciła do odbijania piłeczki. – Zbrodnia doskonała...

Ale Nila nigdy nie zrobiłaby głupiego żartu przyjacielom, sumienie by jej na to nie pozwoliło. Niemal całą swoją uwagę poświęcała zwierzętom. Z białym puchatym królikiem pod ręką wyglądała jak bohaterka ilustrowanych powieści

dla dzieci, które czytała od czasu do czasu najmłodszym mieszkańcom domu. Jej opiekunką była pani Celina, młoda, równie urocza, co jej podopieczna, kobieta, która uwielbiała słomkowe kapelusze i długie spódnice. Razem pielęły ogródek, dbały o kwiaty doniczkowe poustawiane na parapetach w domu, obsadzały rabaty i nawoziły krzewy, a gdy kończyły zajmować się roślinami, wracały do swoich ukochanych zwierząt. Teofil i pan Wilhelm oporządzali świnie i krowy, a Nila z panią Celiną czesały konie, sprzątały królikom klatki, rozrzucały ziarno kurom, opiekowały się psami i karmiły koty, które na ich widok ufnie zbiegały z piętra stodoły.

Nila miała rękę do zwierząt. Lgnęły do niej. Gdziekolwiek usiadła, zaraz miała na kolanach jakiegoś kota, a gdy wystawiała dłoń podczas spaceru, po chwili wciskał się w nią psi nos. Z pupilami rozmawiała jak z ludźmi, zwierzała im się ze swoich trosk i radości. Gdy któregoś razu pan Wilhelm przywiózł z jednej ze swoich podróży sfatygowany leksykon ras psów i wręczył go Nili, ta rzuciła mu się na szyję, wycalowała go w oba policzki i podbiegła do siebie, zostawiając biednego staruszka zaczerwienionego aż po czubki uszu i skrobiącego się ze skrępowania po głowie.

Wszyscy czuli w sobie niemal absurdalną potrzebę chronienia Nili, chociaż ona – mimo że najmłodsza z nich – potrafiła o siebie zadbać. Miała swój mały, uporządkowany świat, do którego żadne poważne kłopoty nie miały prawa wstępu. Jak ognia unikała konfliktów, a wszystkie spory starała się dusić w zarodku, w dodatku skutecznie; nikt nie miał w sobie na tyle wyrachowania, by oprzeć się jej ufnym, sarnim

oczom. Jeśli zatem potrzebowali się ze sobą pokłócić albo wyżyć na sobie, robili to z dala od Nili, by nie sprawiać jej przykrości.

Dom nie oszczędzał jednak nikogo, a tego lata także Nili miało przypaść w udziale trochę smutku.

* * *

Pewnego ranka, już wczesnym latem, Otylia postanowiła dołączyć do Ruty podczas jej codziennej przebieżki wzdłuż ogrodu. Było gorąco, dlatego skryły się w cieniu rozłożystego dębu, żeby tam rozciągnąć mięśnie, gdy nagle Otylia zauważyła Teofila przemierzającego trawnik oddzielający sad od małej szopy z klatkami dla królików i ukrytym za nią kurnikiem. Pewnie nie zwróciłaby na niego większej uwagi, gdyby nie fakt, że po chwili dostrzegła nieopodal również Nilę, w której stronę szedł Teofil.

Dziewczyna siedziała przed szopą na dwóch ułożonych na sobie skrzynkach, wygrzewając twarz w słońcu. Na kolanach okrytych spódnicą trzymała puchatego, białego królika, który dziwnie pasował do jej zmarszczonych, frotowych skarpet w tym samym kolorze, wystających z nad tenisówek. Głaskała zwierzątko spokojnymi pociągnięciami dłoni. Miała przymknięte powieki, więc zauważyła, że ktoś nad nią stoi, dopiero gdy padł na nią cień.

Otylia obserwowała z oddali, jak Teofil wyciąga w stronę Nili dłoń, w której trzymał jabłko. Ta wpatrywała się w niego, chyba nieco oszołomiona, jednak już po chwili jej usta rozciągnął uśmiech tak promienny, że aż w kącikach oczu

pojawiły się zmarszczki. Przyjęła owoc od chłopaka, a ten – wyraźnie skrępowany – odsunął się o krok i splótł ręce za plecami.

Otylia szturchnęła przyjaciółkę. Ruta stęknęła i wyprostowała plecy, podnosząc się z głębokiego skłonu w przód. Jej spojrzenie od razu podryfowało w odpowiednim kierunku, a oczy zrobiły się wielkie ze zdziwienia.

– Świat się wali – wymamrotała. – Jak słowo daje, Tola, świat się wali.

Niestety, miała rację.

* * *

Najpierw usłyszeli huk, potem rozdzierający krzyk i wołanie pana Wilhelma.

Był koniec czerwca, samo południe. Siedzieli akurat w ogrodzie z panem Fryderykiem – nauczycielem i opiekunem części korytarza dla chłopców – który nieoficjalnie udzielał im lekcji historii, a tak naprawdę opowiadał ciekawostki o społeczeństwie rzymskim. Daniel wpatrywał się w niego urzeczony, a Jeremi skrupulatnie wszystko notował, i obaj jako jedyni z całej grupy wydawali się szczerze poirytowani, gdy wszczęto alarm. Ich irytacja nie trwała jednak długo – minęła, gdy tylko zrozumieli powagę sytuacji.

Wszyscy wbiegli do stodoły w momencie, gdy pani Celine pochylała się nad leżącym Teofilem i sprawdzała jego klatkę piersiową, szukając najpewniej pękniętych żeber czy ran. Otylia dostrzegła jaskrawoczerwoną plamę krwi wsiąkającą w brudną słomę tuż pod nim.

– Musimy go przenieść – zarządziła pani Celina. Na końcu warkocza miała trochę krwi, niczym na pędzelku umoczonej w czerwonej farbie. – Fryderyk, Wilhelm, podnieście go. Teofil... – Pochyliła się nad chłopakiem. – Musisz wstać. Tutaj jest zbyt brudno.

Było brudno i duszno, a w powietrzu unosił się zapach krwi. Otylia nie знаła wcześniej tego zapachu, bo z małych ranek, które czasami im się przytrafiały, nie było go czuć, a podczas zarzynania świń czy odbierania porodów zwierząt zamykano im dostęp do obór. Jednak teraz ta żelazista, ciężka nuta wtargnęła jej do nozdrzy i zapisała się głęboko w pamięci.

Pan Fryderyk i pan Wilhelm przykucnęli po obu stronach Teofila i wzięli go pod rękę.

– Noga prosto, unieruchomię ją, na ile zdołam, ale musisz mi pomóc, kochanie – powiedziała pani Celina, zwracając się do chłopaka.

– Nie spadłem... – odparł ochryplym głosem.

– Słucham?

– Nie spadłem... sam.

Pokręciła lekko głową i spojrzała na mężczyzn, dając im niemy znak, by unieśli Teofila z ziemi, a sama złapała jego udo i łydkę. Wówczas Otylia zauważyła biały blask kości wystającej z rozerwanej nogawki.

Nie wiedziała, kto krzyknął pierwszy, ona czy Teofil. Odsunęła się gwałtownie, ale w porę wpadła na Daniela, który otoczył ją ramionami. Mocno zacisnęła powieki i przysunęła dłonie do ust, bo poczuła narastające mdłości. Przez moment miała problem z nabraniem powietrza

do płuc – tym większy, im głośniejsze stawało się zawodzenie chłopaka.

Zostawił za sobą strużkę krwi, która wżarła się w zbudowane deski tak mocno, że nawet późniejsze czyszczenie ich solą i sokiem z cytryny nie przyniosło efektu.

* * *

To były ciche dwa dni.

Tęskniły za nim drzewka owocowe, które jakby w wyrazie żałoby pochyliły się ku ziemi i pokryły trawę dywanem gnijących w upale wiśni, mirabelek, śliwek i jabłek.

Tęskniły za nim krowy muczące żałośnie w zagrodach, choć pan Wilhelm urabiał się po łokcie, by je oporządzić.

Tęskniła za nim wysychająca na słońcu ziemia.

Wszystko w obejściu tęskniło za dotykiem jego spracowanych rąk, za spokojnym krokiem, oczywistą obecnością, okiem zdolnym wychwycić każdy chwast i każdego szkodnika.

Wśród przyjaciół panowało zgodne, wymowne milczenie na temat tego, co się stało – rozmawiali na neutralne tematy, poruszali się ostrożnie po obrzeżach problemu i umiejętnie omijali jego sedno. Nie zadawali pytań i nie szukali odpowiedzi.

Pewnego dnia Otylia zauważyła panią Celinę i pana Fryderyka przycupniętych na schodkach przed frontowymi drzwiami, zasepionych i trochę nieobecnych. Oni również milczeli.

Pan Artur Roggenbak, zarządca domu, wnuk pana Alberta, nie opuszczał swojego gabinetu na trzecim piętrze, a spod jego drzwi wydobywał się ciężki odór dymu tytoniowego.

Pan Wilhelm, który jako jedyny regularnie wyruszał poza bramy posesji, by sprzedawać plony oraz inne owoce ich pracy, a przywozić wszelkie niezbędne dobra, tym razem odpuścił podróż.

Pani Anna niestrudzenie gotowała kleiki na wzmocnienie i załamywała ręce nad krochmalem, widząc kolejne zakrwawione kawałki szmat.

Ruta biegła jeszcze więcej niż dotychczas. Nie próbowała się ścigać i wyklócać z Ludwikiem; truchtali obok siebie w nietypowym porozumieniu, z opuszczonymi głowami i rękami zaciśniętymi w pięści.

Daniel nieustannie paplał, a Jeremi – zamyślony – udawał, że go słucha. Zaszli się w bibliotece i nie naciskali na powrót do lekcji. Otylia widziała, jak Daniel co jakiś czas przemyka do kuchni, by podkraść z niej jakieś smakołyki, którymi próbował ukoić nerwy.

A Nila...

Nila przeplakała dwa dni, tuląc twarz do futer swoich psów, kotów i królików. Nie chciała rozmawiać z dziewczynami. Od Jeremiego przyjmowała chusteczki, owsiankę z rodzynkami i tabletki na ból głowy – zdawał się z nich wszystkich najłagodniejszy, więc właśnie jego wysłali z misją zadbania o potrzeby przyjaciółki, a ich wybór okazał się trafny. Dziewczyna mieszkała na co dzień z młodszą koleżanką, ale Otylia miała wrażenie, że te najupiorniejsze noce spędziła w zagrodach dla koni, które dawały jej ukojenie.

Dopiero kiedy trzeciego dnia po wypadku pani Celi na powiedziała im podczas śniadania, że stan Teofila jest

stabilny i chłopak niedługo nabierze sił, w oczach Nili pojawiło się trochę życia.

Później tego samego dnia, gdy Otylia zmierzała do kuchni, by przygotować ciasto na makaron do zupy, w prześwicie między drzwiami do pokoju Teofila a framugą dostrzegła sylwetkę Nili siedzącej na małym stołku przy jego łóżku. Głaskała dłoń chłopaka w ten sam sposób, w jaki głaskała futra swoich królików – długimi, delikatnymi pociągnięciami, samymi opuszkami palców.

Milczeli, jak zawsze. Ale tego dnia milczeli razem.

* * *

Otylia nie mogła zasnąć. Spojrzała na łóżko Ruty stojące po drugiej stronie pokoju. Z mroku wyłaniała się sylwetka jej przyjaciółki leżącej pod kołdrą. Po tylu latach spędzonych wspólnie na stosunkowo małej przestrzeni Otylia potrafiła już rozpoznać, czy Ruta śpi, po samym jej oddechu i po skrzypieniu sprężyn materaca. Teraz nie spała.

– To się znów zaczęło – odezwała się Otylia, a jej głos brutalnie wdarł się w nocną ciszę.

Ruta cicho westchnęła.

– Mogłabyś się zająć czymś bardziej produktywnym niż snucie teorii spiskowych i myślenie o głupotach – odparła zaskakująco przytomnym jak na tę porę głosem. – Chociażby spaniem. Mam trening o siódmej. Jeśli zaśpię, Ludwik będzie mi to wypominał do końca życia, a nie mogę dać mu tej satysfakcji. Więc bądź już cicho, z łaski swojej, bo próbuję zasnąć.

Otylia jeszcze przez moment leżała w milczeniu, wpatrując się w cienie skaczące po suficie, a kiedy nawet to zaczęło być zbyt wymagającym zajęciem, odgarnęła koldrę, spuściła nogi na ziemię i odszukała palcami klapki porzucone przy łóżku.

– Dokąd się wybierasz? – spytała Ruta.

– Do łazienki. Śpij.

Po ciszy nocnej nie wolno im było opuszczać pokoi. Wyjątek stanowiła łazienka, jednak Otylia, wbrew temu, co powiedziała Rucie, wcale się tam nie wybierała. Wiedziała, jak poruszać się po terenie posiadłości, by nikt jej nie zauważył; wystarczyło wyjść przez okno po drugiej stronie korytarza, okrążyć dom, zwolnić przy chatce pana Wilhelma i wejść tylnymi drzwiami tuż za kuchnią. Tak też zrobiła.

Tej nocy na zewnątrz było bardzo ciepło. Świerszcze grały donośny koncert, gwiazdy srebrzyły się na czystym niebie, a pokryte rosą źdźbła trawy przyjemnie muskały stopy.

Gdy Otylia dotarła już do tylnych drzwi, zdjęła klapki, wzięła je do ręki i najciszej, jak potrafiła, wspięła się na pierwsze piętro, gdzie nie było żadnych sypialni, pokoi opiekunów ani stróżówek – tylko pomieszczenia użytkowe. Tutaj mogła się w końcu rozluźnić. Zza drzwi do biblioteki sączyło się ciepłe, łagodne światło. Weszła do środka niezauważona.

Na stoliku przed kominkiem stała zapalona lampka, a obok niej opróżniona do połowy szklanka czarnej herbaty.

Jeremi uniósł wzrok znad notatnika, nie przestając obracać w palcach ołówek. Spojrzeli na siebie. Otylia

podkurczyła palce u stóp, bo poczuła nieprzyjemny chłód bijący od posadzki, ale nie wypuściła butów z ręki w obawie, że hałas mógłby przyciągnąć nieproszoną uwagę.

Nie wymienili uśmiechów. Wpatrywali się w siebie bez słowa, oboje równie zmartwieni i zmęczeni, trawieni bezsennością.





– Nadeszła kolej na nas – powiedziała w końcu.

– Nadeszła kolej na nas – potwierdził Jeremi.



*Sięgnij
po więcej!*



-  wydawnictwokobiece.pl
-  Wydawnictwo Young
-  [wydawnictwoyoung](https://www.instagram.com/wydawnictwoyoung)
-  [wydawnictwoyoung](https://www.tiktok.com/@wydawnictwoyoung)

Young